

Krzysztof Kuś

Pogranicza

Opowieści nieoczywiste



Krzysztof Kuś

Pogranicza

Opowieści nieoczywiste

© Copyright by Krzysztof Kuś & e-bookowo

Korekta i redakcja: Marta Bluszcz

Zdjęcia na okładce i projekt okładki: Magdalena Lubecka

ISBN e-book: 978-83-8166-340-3

ISBN druk: 978-83-8166-354-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2023

Kochanej Babci...

Zamiast wstępu

W biurku dziadka, takim masywnym, starym, dębowym, którego solidny blat połyskiwał pełnym jakiejś zagadkowej i tajemniczej elegancji brązowym werniksem, odkąd tylko sięgam pamięcią, spoczywało czarne, wieczne pióro. Nie wiem, ile dokładnie wtedy miałem lat. Może sześć, może siedem? Pewne jest jednak to, że nosiłem jasne, kręcone włosy i uwielbiałem zakradać się do położonego na piętrze domu gabinetu, wypełnionego chyba wszystkimi rodzajami książek, jakie byłem sobie wtedy w stanie wyobrazić. To była moja pierwsza biblioteka – zaczarowana, magiczna kraina, pachnąca fajkowym tytoniem, skórą, jaką obity był wyliniały fotel, mocną kolońską wodą i kurzem grubych, atłasowych kotar, dzięki którym we wnętrzu zawsze panował przyjemny półmrok.

Pióro leżało w szufladzie biurka. Kusiło, wabiło, wołało, a czasami nawet uśmiechało się, patrząc na mnie niewidzialnym wzrokiem z głębokich otchłani niepoznanych, zaginionych światów, których obecność ledwie wówczas jeszcze przeczuwałem. Czasami, wiedziony

jakąś instynktowną ciekawością, otwierałem dziadkowe biurko – z tym trochę może pretensjonalnym, wręcz nawet śmiesznym, pieczołowitym aż do bólu, nabożnym uniesieniem, które jest przecież treścią każdego beztroskiego dzieciństwa – i brałem pióro do ręki. Wciąż pamiętam ten cudowny, chłodny dotyk metalowego korpusu powleczonego antracytową farbą. Obok stał kałamarz z zaschniętym, ciemnozielonym atramentem i wiele innych rzeczy, których przeznaczenia wówczas zupełnie nie znałem. Mnie interesowało wtedy tylko i wyłącznie pióro. Ono jedno. Trzymałem je zawsze mocno i pewnie. Podnosiłem prawą rękę wysoko i ustawiałem swój magiczny rekwizyt mniej więcej na linii wzroku, w taki dostojny sposób, z pełnym przejęcia namaszczeniem. Potem siadałem na grubym, puchatym dywanie i zamykałem oczy. Wciąż mocno ścisnąłem moje już przecież wtedy pióro, które wydawało mi się drogocennym skarbem, czymś w rodzaju przepustki do innego świata, wytrychem do tajemniczego ogrodu, którego lawendowy zapach przecież tak wyraźnie czułem wszystkimi niemal zmysłami.

O czym wówczas myślałem? Czas na pewno pozacierał wiele szczegółów. Wiem jednak, że był jakiś zamek z wysoką, strzelistą, gotycką wieżą. Tam, w nieco posępnej komnacie, na ostatniej kondygnacji, z której

roztaczał się budzący bezsprzeczny podziw widok na postrzępiony łańcuch częściowo schowanych w gęstej, mlecznobiałej mgłę gór, była pracownia Czarodzieja. Tak go wtedy nazywałem. Czy był on alchemikiem, czy jakimś zagubionym w czasie i przestrzeni magiem, czy też oddanym bezgranicznie swemu powołaniu pisarzem, ciężko dzisiaj powiedzieć. Pewnie trochę tym, trochę tamtym. Fascynował, pociągał, zapraszał do swojego świata i długo nie chciał z niego wypuścić, oczywiście ku olbrzymiej radości małego chłopaka. Te moje wycieczki w krainę fantastycznej wyobraźni trwały tak długo, aż w końcu zaniepokojeni rodzice zaczęli poszukiwania swojej ukochanej pociechy, odnajdując ją ostatecznie w starym gabinecie dziadka. Wówczas pióro trafiło na miejsce, szuflada zamykała się z energicznym trzaskiem, a ledwie kilka chwil później chłopiec z kręconymi włosami zajadał świeżą bagietkę z chrupiącym, podsmażanym boczkim, od której aż trzęsły mu się uszy.

Potem wiele się w życiu zdarzyło. Chłopiec podrośł, dojrzał, wreszcie zupełnie wydorósł. Przeszedł wiele szlaków, nieraz ciężko się sparzył i rozczarował. Sporo na pewno zrozumiał, także to, iż na wiele nabrzmiałych jakąś palącą niewiadomą pytań nigdy już nie znajdzie się odpowiedzi. Zmieniał się. Właściwie nieustannie

przekształcał się, gubił i odnajdywał, powracał, odnawiał i zaczynał na nowo. Jasne, kręcone włosy najpierw stały się proste i czarne, a potem, powoli, ale nieustępliwie, zaczęły wypadać coraz bardziej i bardziej, aż w końcu zostało ich doprawdy niewiele.

Życie czasami zaskakuje, najczęściej w zupełnie nieoczekiwany sposób i to właśnie wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy. Te nagłe, niespodziewane zwroty akcji, których w żaden sposób nie można przewidzieć i do których nie sposób się przecież przygotować, stanowią w gruncie rzeczy całą energię egzystencji, ten jeden jedyny, niepowtarzany smak bytowania.

Jakiś czas temu robiłem porządku w rodzinnym domu. Oczywiście gabinet dziadka był już od dawna przeszłością. Po kolejnym remoncie urządzono tam jasną, przestronną sypialnię. Książki, na które z taką pożądlivością spoglądały roziskrzone, dziecięce oczy, były teraz częścią mojej, dosyć sporej zresztą, latami skrzętnie powiększanej biblioteki. Z kolei biurko, nikomu niepotrzebne, trafiło na strych, a potem wszyscy o nim zapomnieli. Odkryłem je właściwie przypadkiem. Chyba przypadkiem. To znaczy w taką wersję chcę właśnie wierzyć. Po prostu pewnego rzeńskiego, jesiennego dnia, po ulewnym deszczu, padającym zawzięcie całą noc, by krótko po zamglonym poranku ustąpić miejsca słońcu,

które chyba tylko w październiku potrafi z taką zmysłowością wydobywać półtony barw z poźółkłych, wciąż jednak trzymających się na drzewach liści, wyszedłem drewnianymi, skrzypiącymi schodami na zawalone najróżniejszymi gratami poddasze. Biurka w pierwszym momencie nie było widać. Spoczywało za staroświecką, inkrustowaną połyskującą żywicą komodą. Czemu moje kroki skierowały się właśnie w ten kąt strychu? Przecież tak naprawdę niczego konkretnego nie zamierzałem tutaj odnaleźć. Wyszedłem sobie tak po prostu, bez jakiegoś ustalonego, sprecyzowanego wcześniej celu i planu. Szósty zmysł? Możliwe. Na pewno zapomniana, ale przecież wciąż obecna we mnie pamięć tego najlepszego czasu, bezpiecznego, szczęśliwego, radosnego i absolutnie magicznego, pełnego pasji poznawania wszystkiego i wszystkich.

Mebel stał sobie, jakby nigdy nic. Długo dotykałem starego, popękanego blatu. Potem dłonią namiętnie naciskałem zimny, mosiężny uchwyt szuflady. Ta otworzyła się z pełną zwiewnej gracji lekkością i, wierście mi lub nie, w tym krótkim momencie, przez ułamek niewybrzmiałej, nieoczywistej sekundy, poczułem tak dobrze mi znany zapach. W końcu tyle razy rzucałem się dziadkowi na szyję, wtulałem w silne, męskie ramiona i czułem, że nic złego przy nim nigdy nie może mi

się stać. W żaden sposób nie mogłem się teraz mylić. Cytrusowa, mydlana woń kremu do golenia niestety ulotniła się równie niespodziewanie, jak się pojawiła, a ja ocknąłem się z jakiegoś półsnu, konstatuując ze zdumieniem, że trzymam w dłoni pióro. Właśnie tamto, dokładnie tamto pióro ścisakałem teraz z tym samym rozkosznym drżeniem jak wtedy, przed prawie trzydziestu laty. Czas znowu zatrzymał się w miejscu, a ja, do końca nie wiedząc, gdzie tak naprawdę byłem, zszedłem z magicznego strychu dopiero późnym wieczorem, gdy wilgotny zmierzch tulił pobliski las do snu. Głodny oczywiście. Okropnie głodny. W kieszeni mojej ulubionej, flanelowej koszuli spoczywało emanujące jakimś ciepłym spokojem pióro. Odnaleziony klucz do magicznej krainy szczęścia. Dosłownie i w przenośni.

Co było dalej? Długo by można jeszcze opowiadać. Na pewno kilka dni później pobiegłem do sklepu papierniczego i zakupiłem atrament. Zielony. Właściwie to malachitowy. Ciepły, głęboki i idealnie niemal nasycony. Najpierw długo czyściłem pióro pod strumieniem bieżącej wody, a potem dokładnie osuszałem każdą jego część. Następnie wszystko precyzyjnie poskręcałem, napełniłem tłoczek atramentem i przyłożyłem końcówkę do przygotowanego wcześniej papieru. Pióro działało! Bez najmniejszego problemu zaczęło pisać i robiło to

naprawdę znakomicie. Atrament spływał gładko, stalówka śpiewała subtelnie, wręcz melodyjnie, a dłoń sama wrywała się do snucia opowieści. Tak po prostu, z jakiejś głębokiej, wewnętrznej potrzeby. Ciężko opisać, co wtedy czułem. Było mi na pewno cudownie, a w środku zaczynała coraz mocniej drgać jakaś struna, o której istnieniu chyba zupełnie zapomniałem.

Pisać chciałem tak naprawdę zawsze. Ciągłe jednak na przeszkodzie stawało jakieś dziwaczne, bezkształtne, nieokreślone „coś”. Ta blokada, która przez lata skutecznie hamowała jakiegokolwiek próby wyjścia poza mgliste fantazje, była w gruncie rzeczy we mnie samym. Wiele spraw musiało dojrzeć, wiele rzeczy przebrzmieć i zniknąć gdzieś w głuchej studni nieistnienia, by wreszcie mogła podziąć się ta skrywana latami magia, dziecięca alchemia, pewna i prosta, bo przecież cudownie otwarta na każdą możliwą potencjalność. Chodziło o chcenie. To najprostsze chcenie. Wystarczył mały impuls, takie z pozoru wydawałoby się mało istotne, stare pióro, o którym ktoś mógłby powiedzieć, że jest tylko martwym, bezdusznym przedmiotem, by pękła kruszejąca latami tama. Słowa popłynęły wreszcie wartkim strumieniem, układając się w pierwsze zdania i akapity, które cieszyły tak bardzo, jak nigdy nic wcześniej. W ten sposób właśnie zaczęły spełniać się i materializować marzenia

dorastającego młodzieńca o napisaniu i wydaniu swojej własnej książki.

Pragnę w tym miejscu gorąco podziękować tym wszystkim osobom, bez których nie byłoby niniejszych opowieści z pogranicza nieoczywistości. W pierwszej kolejności dziękuję moim cudownym Rodzicom, za wszelki trud, pomoc, dobre słowo i wiarę. Dziękuję Wam, Mamo i Tato. To właśnie Wy zabraliście mnie po raz pierwszy na jurajskie szlaki. Po drugie chciałem serdecznie podziękować mojemu niestety nieżyjącemu już, cudownemu poloniście i wychowawcy z liceum, Michałowi Walińskiemu, który gdzieś na początku drugiej klasy powiedział mi, że powinienem pisać i że kiedyś na pewno będę pisać. Wówczas miałem odmienne zdanie, jak w wielu innych kwestiach zresztą. Dzisiaj uczciwie muszę to wreszcie przyznać – tak, miał Pan, Panie Profesorze, rację.

Chcę też podziękować osobie, która przez ostatnie miesiące gorąco mnie wspierała, dodając siły i przede wszystkim wiary w to, że chcąc, tak szczerze, tak naprawdę i tak do końca, można spełnić każde, nawet to z pozoru najbardziej szalone marzenie. Dziękuję Ci, Wiedźmo, za to, że jesteś i proszę – po prostu bądź dalej i trzymaj mocno moją dłoń. Dziękuję też Tobie, Mały Gremlinie, bo bez Ciebie chyba nigdy bym nie wpadł

na coś, co pomogło mi wybrnąć z pewnej ślepej drogi i ostatecznie znaleźć sposób na dokończenie całej książki. Proszę Cię, słuchaj Cioci i naucz się wreszcie porządnie czytać!

Ciebie zaś, drogi Czytelniku, proszę o zwykłą wyrozumiałość i odrobinę najprostszej życzliwości. Stań obok mnie i chodź. Wejdziemy razem na zaczarowany szlak. Chyba mniej więcej wiem, w którą stronę iść. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zaufaj więc i uwierz – tam, gdzie patrzysz razem ze mną, głęboko w sosnowym lesie jest granica, za którą wszystko, absolutnie wszystko jest możliwe.

Wąwóz tajemnic

Poranny pociąg sennie zjeżdża na tory postojowe. Zawiercie jeszcze śpi. Jest niedziela. Koniec marca. Dziewiała rano. Świt otula się wiosenną, ciągle jeszcze zimną mgłą. Szlak rusza sennie płataniną ulic, parków, blokowisk, dróg i placów. Idzie, bo nie może dzisiaj stać. Czemu miałby zatonać, zatopić się w apatycznej bezczynności? Do Hutek ponad trzydzieści kilometrów i żadne, nawet najpobożniejsze dywagacje, nic tutaj nie zmieniają. Tylko determinacja. Ten nieodzowny warunek osiągnięcia celu. I dopiero wtedy na finiszu spełniona droga, spełniony szlak, ta dzika radość, z którą nic nie może się równać. Tylko czy tak faktycznie będzie? Czy uda się wypełnić rozdzierającą wszystkie zmysły pustkę?

Piękny jest widok zatopionego w mlecznej, lekko pomarańczowej poświacie miasta. Z blanowickich wzgórz, gdzieś nad starą cegielnią, widać majaczący w szerokiej dolinie twór. Dziwny, żywy organizm, otoczony lasami, z dymiącą hutą i tysiącami domów. Z milionami sprzecznych historii, w większości

anonimowych, radosnych i tragicznych, dobrych i złych. Cała konstelacja życia. Spójność miasta w kakofonii tworzących go, często przecinających swoje trajektorie, błędzących gdzieś wśród rozmarzonych gwiazd ludzkich losów. Wiatr dmie przez puste pola. Na trasie pojawia się śnieg. To rozmiękły, mokry, to znów zmrożony i twardy. Lodowate zimno z dokuczliwą surowością wypełnia wczesnowiosenny poranek. Zmusza do myślenia. Tak po prostu.

Życie jest nieuchronną pewnością celu. Jest zmiennością w swojej zatrwazającej stałości. Poplątane dukty prędeży czy później doprowadzą przecież do jednego, wspólnego portu. Do pojednanej przystani. Widać to dobrze przy skarżyckim sanktuarium, gdzie krzyżują się szlaki, łączą drogi i zaczynają zupełnie nowe trakty. Dzwonek na podniesienie nie rozprasza bynajmniej coraz bardziej namaszczonych i napuszonych myśli, tych nieokrzęsanych i ostatecznie głęboko areligijnych. I jeszcze na deser ten gryzący zapach węglowego dymu z kominów niemych domów. Trzeba iść. Dalej, przed siebie. Kierunek na Żerkowice. Tak mniej więcej, no bo – należy to otwarcie przyznać – przesadna dbałość o szczegóły zabija każdą wyprawę. Droga, jakakolwiek by nie była i gdziekolwiek by nie zmierzała, kocha spon-taniczność. To jasne i oczywiste.

Na skałach Wielkiego Okiennika jest pusto. Pomarańczowe słońce nie daje nawet grama ciepła. Zielone jałowce odcinają się kanciasto od uschniętych traw i zielska. Nagie, subtelne, kobiece piękno natury. Jak piersi Kleopatry, które uwiodły Marka Antoniusza. W takiej czarodziejskiej aurze można zostać już na zawsze. Trwać tak latami całymi w bezdennej nieskończoności czasu. Nie ma jednak teraz chwili na odpoczynek i kontemplację istnienia. Meta ciągle jest przecież daleko. Trzeba więc znowu iść.

Wieś po drodze, taka nowobogacka, przynajmniej ta jedna jej część, zadziwia kiczowatymi pałacami, których zazdrośnie strzegą wysokie parkany i budki ochroniarzy. Centrum miejscowości przeraża zaś ubóstwem i mdłą swojskością obdartego nieładnego sklepu. Knajpa. Remiza. Jakieś śmieci, które straszą, szeleszcząc na wzmagającym się coraz bardziej wietrze. Rozbite butelki po piwie. Czarny kot, leniwie wylegujący się tuż za przystankiem autobusowym. I podpici mężczyźni, którzy w milczeniu obserwują przybysza z aparatem. Nieznajomy zaś zwyczajnie ucieka, nie mając ochoty na rozmowę, która nieuchronnie musiałaby się przemienić w niemiłą konfrontację. A to już niewątpliwie nie skończyłoby się dobrze. Wiadomo. Smutno tutaj jakoś. Te ostre, rażące kontrasty niepokoją. Ale taka jest właśnie

dzisiaj Jura. Skrajne, ostentacyjne bogactwo z jednej strony i smutna, pozbawiona nadziei bieda z drugiej. Szlak ucieka tchórzliwie asfaltową drogą. Pod górę. Z wyraźnym wysiłkiem. Kiedyś i tak trzeba będzie się zatrzymać, ale teraz najłatwiej uchodzić wstydliwie. Haniebna w istocie rejterada.

W końcu droga zanurza się w Dworski Las, biegnąc teraz dnem wąskiego wąwozu. Czuć tutaj zapach magii i aurę poufałej, nieco mrocznej tajemnicy. Czas chyba stoi w miejscu. Ten zaczarowany, baśniowy klimat cudownie koi wyostrome, poruszone zmysły. Trasa zatrzymuje się na moment i natęża z całych sił swoją wagę. Chyba coś słysząc? Tak, słysząc wyraźnie. Słysząc pewnie i mocno. Blisko. Tuż obok. Gdzieś zza zakrętu nieoczekiwanie rozbrzmiewają nerwowe, krzykliwe nawiływania czeladzi. Słysząc rzenie koni, skrzypienie wozów obładowanych towarem. Klarownie brzmi twardy głos kupca, panujący władczy autorytetem nad całą karawaną. Czuć zapach skór, przypraw, końskiego potu. To naprawdę się dzieje. Kawalkada jest już blisko. Widać ich. Widać wyraźnie.

Ile to wszystko trwa – nie wiadomo. Faktem jest nagle cisza. Strone zbocza wąwozu wydają się stać bliżej siebie. Piaszczyste dno pogrąża się w nienaturalnym o tej wczesnej przecież jeszcze godzinie mroku. Szlak chyba

się zgubił. Zwalone drzewo tarasuje drogę. Dziwne było to niedawne rozmarzenie, ale chyba jeszcze bardziej dziwna jest ta zimna jawa teraz. Gdzieś rodzi się uzasadnione przecież pytanie połączone z obawą, no bo przecież czemu ta nierealność tak szybko uciekła? Wszystko nagle znikło. Jak rozwiany wiatrem dym, jak poranna mgła. A jednak w układzie kolein wyraźnie widać nadal ślady wozów i zarysy podków końskich kopyt odbite w wilgotnym piasku...

Dość tego. Trzeba iść. Szybko. Daleka jeszcze droga. Cel wciąż odległy i mglisty. W Karlinie jakiś podejrzany osobnik próbuje zmienić przebieg marszruty. Taki mały, gruby, na pozór dobroduszny, trochę jowialny, z obłudnym uśmiechem na okrągłej twarzy, a tak naprawdę złośliwy, skrajnie cyniczny człowieczek bez skrupułów, myślący tylko o końcu własnego nosa, pełny złej, trującej energii, który zawsze i wszędzie umie tylko niszczyć, wciąż i wciąż próbując odgrywać tandetną rolę wiecznej, skrzywdzonej przez wszystkich ofiary. Facet bredzi, że droga na Bzów, że lasem jeszcze śnieg, a tam przecież nowy, gładki asfalt, że lepiej tamtędy będzie. I ciepło będzie, słońeczko przyświeci. Ale droga jest mądra i wie swoje. Szlak trzyma się obranej, raz wytyczonej trasy. I nikt tego nie zmieni. Męczą pełne piachu ławice. Męczą gwar Podzamcza. I znowu wytchnienie

daje sosnowy las. Ale tak jest właśnie dobrze. Cierpliwie, małymi etapami. Do przodu.

Szlak jest kolorowy. Piękna, impresjonistyczna paleta barw wszelakich. Niebieska od Zawiercia. Żółta między Skarżycami a Okiennikiem. Czerwona przez Żerkowice i nawiedzony parów, aż po grodzisko na Górze Birów i ogrodzieniecką warownię. Potem znowu żółta, obok Źródła Bełkotek, aż do wywierzysk Centurii. Wreszcie Hutki. Ostateczny cel i koniec, choć przecież także nowy początek zarazem. Droga dotarła w samą porę. Powoli dopała się już dzień, a zmęczenie mówi wszystkim, ziewając ukradkiem, „dobranoc”. Tutaj zresztą już nic więcej się nie poradzi i nie wymyśli. Jakiś mężczyzna, tak na oko po trzydziestce, lekko łysiejący, choć ciągle jeszcze jednak szczupły i wysportowany, patrzy gdzieś w ciemniejący wczesnym wieczorem półmrok lasu. Coś go gryzie, męczy, wwierca się intensywnie i mocno w sam środek umysłu. On jeden tylko zna dokładnie przyczynę. Tak, ma tego świadomość. Wie przecież, co zrobił i nie może się z tym faktem pogodzić.

Kiedys na pewno miał szansę i mógł. Wystarczyło tylko pójść te kilka niewinnych kroków dalej, nie ulegać tak bardzo fałszywemu szantażowi, tej płacziwej histerii obliczonej li tylko na konkretny efekt i dość wymierny zysk, pozwolić na naturalny bieg rzeczy, na zwykły

rozwój wypadków, między jednym a drugim wykładem, gdzie tak często się spotykali, między tą czy tamtą przypadkową rozmową, między takim czy innym jeszcze spacerem, na który nigdy nie było czasu, w półśnie rozmarzonych spojrzeń, w onirycznej głębi niedomówień, w zapachu jasnych, zwiewnych włosów, tak bardzo wtedy urzekających. Tylko tamten telefon, wówczas dramatycznie wstrząsający. Rozmowa z człowiekiem, który tak genialnie umiał udawać. Jak wówczas mógł się nabrać? Ulec temu perfidnemu szantażowi? Jak mógł? Jak mógł nie dostrzec całej obłudnej hipokryzji, tej sztucznej maski, emanującej jakimś zimnym złem? Tego właśnie nie potrafił w żaden sposób zrozumieć i pojąć.

Stało się jednak. Dzisiaj wszystko już odeszło. Rozmazało się. Rozproszyło. Wszystko, z wyjątkiem żalu, owej głuchej otchłani w środku, tak bardzo zimnej i samotnej, której nic od długiego już czasu nie mogło w żaden sposób zasypać. Tak usilnie chciał zapomnieć, tak bardzo pragnął, by tamto zniknęło, by sumienie raz na zawsze przestało wyrzucać leniwą beczynność sprzed lat. Ale nie było żadnego sposobu. Tylko chwilowe substytuty szczęścia, kiepskie i tanie wypełniacze, same w sobie może i dobre, ale jednak ostatecznie zawsze jakieś gorzkie. Takie cierpkie, których nie sposób było niczym osłodzić.

Dzisiaj też dalej trzeba iść. Przecież można by już wrócić do domu, zamknąć się z książką w czterech ścianach, napić gorącej herbaty z malinowym sokiem, okryć ciepłym, wełnianym kocem i trochę odpocząć. Tylko jak wytrzymać z samym sobą? Jak wytrwać choć przez chwilę w jałowej beczynności? Nie, nie i jeszcze raz nie! Trzeba biec przed siebie. Trzeba jeszcze bardziej się zmęczyć. Trzeba przesunąć kolejną granicę i znowu coś udowodnić całemu światu, pobić następny – i tak już zresztą wyśrubowany do granic możliwości – rekord. Dalej więc. W chłodną czerń. W sosnową mgłę. W jurajską noc widm. Dalej i dalej. Ciągle dalej. Wciąż i wciąż dalej.

Spis treści

<i>Zamiast wstępu</i>	7
<i>Wąwóz tajemnic</i>	16
<i>Plotkarki</i>	24
<i>Aromatyczne fougere zawierciańskich lasów</i>	27
<i>Rodzina</i>	32
<i>Zielony tunel</i>	39
<i>Terra Rossa</i>	45
<i>Pomruki burzy</i>	63
<i>Kraina kontrastów</i>	66
<i>Cisza wędrowania</i>	75
<i>Domek z kart</i>	82
<i>Jurajski spleen</i>	85
<i>Powracająca fala</i>	92
<i>Sokole Góry</i>	96
<i>Wiosna ciszą zamglona</i>	106
<i>Wrześniowy Prądnik</i>	112
<i>Mężczyzna z plecakiem</i>	118
<i>Pociąg</i>	122
<i>Rynek</i>	131
<i>Jesienna impresja</i>	140
<i>Zakochańcy</i>	153
<i>Zimowa pieśń</i>	159
<i>Pogranicza</i>	169
<i>Epilog</i>	183



Krzysztof Kuś

Urodzony w 1984 r.

Babiogórski góral,

obecnie mieszkający w Piekarach Śląskich.

Absolwent teologii na UPJPII w Krakowie.

Pasjonat kolei i fan pieszych wędrówek.

Książki kochał od zawsze,

podobnie jak pisanie wiecznym piórem.

„Pogranicza. Opowieści nieoczywiste”

to literacki debiut autora,

będący zwieńczeniem pewnej długiej drogi

i zarazem początkiem fascynującej przygody

z magiczną alchemią słowa.

*„Stań obok mnie, drogi Czytelniku, i chodź.
Wejdziemy razem na zaczarowany szlak.
Chyba mniej więcej wiem, w którą stronę iść.
Przynajmniej tak mi się wydaje.*

*Zaufaj więc i uwierz
– tam, gdzie patrzysz razem ze mną,
głęboko w sosnowym lesie
jest granica, za którą wszystko,
absolutnie wszystko jest możliwe.”*

